



**PROF. DR HAB.  
ANNA JANUS-SITARZ**

Profesor tytularny w Katedrze Polonistycznej Edukacji Nauczycielskiej i kierownik Centrum Badań Edukacyjnych i Kształcenia Ustawicznego na Wydziale Polonistyki UJ. Przewodnicząca Komisji Edukacji w Komitecie Nauk o Literaturze PAN. Inicjatorka Kongresów Dydaktyki Polonistycznej. Redaktor naukowa serii wydawniczej „Edukacja Nauczycielska Polonisty”. Autorka książek: *Groteska literacka. Od diabła w Damaszku po Becketta i Mrożka* (1997); *Lekcje teatru* (1999); *Przyjemność i odpowiedzialność w lekturze. O praktykach czytania literatury w szkole* (2009); *W poszukiwaniu czytelnika. Diagnozy, inspiracje, rekomendacje* (2016). Jest współautorką podręczników: *Barwy epok* i *Lustra świata*.

## Przygody olimpijskie człowieka czytającego, co chce

PRZEDE MNĄ mały żółty kartonik ze słowami Witolda Doroszewskiego: „Język ojczysty jest żywiołem, którym tak żyje i oddycha nasza świadomość, jak nasz organizm powietrzem”. Na drugiej stronie: „Dla upamiętnienia eliminacji centralnych VI Olimpiady Literatury i Języka Polskiego” i podpisy szesnaściora członków Komitetu Głównego. Pośród autografów rozpoznaję nazwiska Mieczysława Klimowicza, Michała Głowińskiego, Janiny Kulczyckiej-Saloni, Aleksandry Okopień-Sławińskiej, Teresy Kostkiewiczowej, Tadeusza Bujnickiego, Zdzisława Libery, Alicji Szlązakowej. Pod spodem data: 6–8 kwietnia 1976 roku. Kartonik przechowany przez ponad czterdzieści lat.



WŁĄCZENIE TRZECIOKLASISTÓW w szkolny etap zawodów Olimpiady Polonistycznej miało być w klasie profesor Heleny Styrny-Mamoń w XII LO tylko treningiem przed prawdziwymi zmaganiem w klasie maturalnej. Wyszło nieco inaczej.

Moja czwórka z polskiego i nieznanymi mi materiałami programowymi od Młodej Polski po współczesność nie dawały wielu szans na sukces. Jednak zapał siedemnastolatki, brak wielkich oczekiwań i nieświadomość

bezmiaru własnej niewiedzy wykluczały stres, dodawały luzu, radości z funkcjonowania w zabawie, w grze, w której niczego nie można przegrać.

Na eliminacje szkolne przygotowałam esej o *Panu Cogito* Herberta – nieobecny w programie, w podręcznikach, w księgarniach. Do tej pory stoi na półce ukradziony i podarowany mi przez kolegę, Sławka S., tomik w zafoliowanej czerwonej okładce i z pieczętkami jakiejś odległej publicznej biblioteki, obciążony wyrzutami sumienia i poczuciem nigdy nieodkupionego grzechu. Zaczytany do ostatniego wersu, zmatowiały od ciągłych powrotów, znany na pamięć, świadek moich samotnych rozmyślań i głośnych deklamacji. W środku osiem zapisanych i złożonych w czworo stron pożółkłego papieru w kratkę z moim olimpijskim esejem *Pana Cogito droga per aspera*, w którym z młodzieńczą dezygnacją polemizuję z Julianem Kornhauserem.

Na zawody ustne wybrałam książkę Alejo Carpentiera. Nic w tym dziwnego – to był *boom* prozy iberoamerykańskiej, jednak *Podróż do źródeł czasu* okazała się jednym z moich najważniejszych adolescentycznych doświadczeń czytelniczych. Gdy doszłam do 50 czy 60 strony, stwierdziłam, że nie chcę, żeby spotkanie z bohaterem wędrującym dorzeczem Orinoko skończyło się zbyt szybko i – zaczęłam czytać od początku, niespiesznie. Pamiętam to uczucie smakowania słów, obrazów, a przede wszystkim muzyczności tekstu kubańskiego pisarza – muzykologa. Ale także przekraczanie wraz z bohaterem jakiejś tajemnicy, dla niego – obcej kultury, dla mnie – dorosłości.

Przez lata odkładałam sobie na później powrót do tej literackiej uczty i kiedy wreszcie, całkiem niedawno, zabrałam ze sobą książeczkę w białej płócienną okładce na wakacje, nie odnalazłam w niej nic z dawnych odkryć i ośnień. Parokrotnie wertowałam strony od 50 do 60, nie mogąc sobie przypomnieć, co zatrzymało mnie w zachwycie i nakazało powtórny lekturę.

Zakwalifikowanie do eliminacji okręgowych nie wiązało się dla mnie z presją, poczuciem jakichś dodatkowych obligacji, potrzebą sprostania czyimś oczekiwaniom, obowiązkiem nadrabiania materiału, uzupełniania nieznanym mi lektur obowiązkowych i wiedzy o kolejnych epokach,

powtarzania itd. Nikt nie kierował moimi lekturowymi wyborami. Czytanie było jak oddychanie. Oddychało się tym, co dostępne. W starej części Nowej Huty było więcej księgarń niż teraz w całej dzielnicy, a ceny książek szyte na miarę kieszonkowego. Chłonełam więc z pasją serię Państwowego Instytutu Wydawniczego „Plus Minus Nieskończoność”, a książki Hoimara von Ditfurtha, uczące dystansu wobec problemów własnych i innych mieszkańców pyłku Wszechświata – wielokrotnie, polowałam na kolejne powieści wydawane przez Wydawnictwo Literackie i Naszą Księgarnię. Prenumerowane w teczce w kiosku Ruchu czasopisma: „Literatura na Świecie”, „Odra”, „Więź”, „Literatura”, „Kultura”, „Życie Literackie”, krakowskie gazety codzienne, często ze znakomitymi felietonami (np. odważnymi tekstami Stanisława Bortnowskiego o szkole i polityce) czytało się od deski do deski, bez świadomości partyjnej przynależności autorów czy ich uczelnianej afiliacji.

Telefon od mamy z wiadomością o zaskakująco bliskim terminie okręgowych zawodów zastał mnie na feriach zimowych w Krościenku nad Dunajcem. Właśnie po raz pierwszy czytałam *Kalendarz i klepsydre* Konwickiego – nowość zakupioną do biblioteczeki ośrodka wczasowego „Trzy Korony” (później czytany sześciokrotnie, za każdym pobytem w Pieninach). Decyzję o pozostaniu do końca wśród wakacyjnych przyjaciół lub ich przedwczesnym opuszczeniu, aby wziąć udział w Olimpiadzie, dodatkowo komplikowała pogoda. Zima stulecia odcięła Krościenko od świata. Kilkumetrowe ściany ze śniegu pozostawiały tylko wąskie przejścia dla pieszych, nie kursowały autobusy. Dopiero przy drugim podejściu, na następny dzień, po dwugodzinnym oczekiwaniu na małym ryneczku, ktoś podwiózł mnie wraz z kilkoma innymi zmarzniętymi podróżnymi do Szczawnicy. Kilkugodzinne pertraktacje kilkorga pasażerów z kierowcami PKS-u zakończyły się sukcesem. Znalazł się śmiałek, który pomimo zamieci, ciemności i zasypanych dróg zdecydował się jechać do Krakowa. Stary „ogórek” ślizgał się po nieodśnieżonej drodze, raz po raz gubiąc trasę. Grupa zdesperowanych pasażerów ogrzewała się w zimnym wozie, paląc sporty i carmeny, wyskakując od czasu do czasu, żeby popchać

autobus. Drogi Panie Kierowco, dziękuję, że bezpiecznie dowiózł nas Pan wówczas do celu.

Następnego ranka w gmachu liceum (chyba VIII przy ulicy Grzegórzeckiej) pisałam rozprawkę o aktualności romantyzmu (*Bohater literatury romantycznej i współczesnej – analogie i różnice w postawie wobec świata*). Pestka. Tym żyliśmy. Wielokrotnie oglądane spektakle Swinarskiego w Teatrze Starym, *Dziady*, a potem nawiązujące do niego *Wyzwolenie* były naszą Biblią. Słowa Jerzego Treli – Konrada Mickiewicza i Wyspiańskiego o wolności jednostki mogliśmy nieść na sztandarach w manifestacjach (wtedy jeszcze jedynie wyobrażanych) przeciw komunistycznej władzy. Patetyczne monologi wcale nie brzmiały dla mojego pokolenia sztucznie i pretensjonalnie. Krzyczały za nas.

Wybrany do recytacji Norwid (*W Weronie*) okazał się dla komisji zbyt krótki, aby dostatecznie ocenić moje umiejętności interpretacyjne (rzeczywiście, pozostali deklamowali *Fortepian Szopena*, *Redutę Ordona...*), więc poproszono mnie o inny wiersz. Mój popisowy występ z *Poezją* Broniewskiego nie rozczarował komisji, przejście od tkliwego szeptu do głośnego patosu wywołało poruszenie i zostało nagrodzone dużymi oklaskami widowni. Ktoś z komisji porównał mnie do Ignacego Gogolewskiego. Nie był to komplement? A może jednak.

Pamięć przechowuje obrazy wspaniałej atmosfery szkolnych korytarzy, gdzie młodzi Olimpijczycy, połączeni lekką tremą, zawierali znajomości, do których chętnie się wracało. Andrzej Baczyński, późniejszy starszy o rok kolega z teatrologii (a jeszcze później ksiądz, profesor teologii, jeden z twórców krakowskiego oddziału Redakcji Programów Katolickich TVP, reżyser filmów o papieżu, o rodzinie Ulmów), wtajemniczał mnie w wiedzę o naszych wykładowcach i ich wymaganiach.

Zaświadczenie o udziale w eliminacjach II stopnia VI Olimpiady Literatury i Języka Polskiego, przeprowadzonych w dniach 31 stycznia – 2 lutego 1976 roku w Krakowie, podpisała ówczesna przewodnicząca Komitetu Okręgowego Olimpiady profesor Jadwiga Kowalikowa – nieco później promotorka mojego doktoratu, moja szefowa (przez blisko

trzydzieści lat) w Katedrze Polonistycznej Edukacji Nauczycielskiej Wydziału Polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Ku mojemu szczeremu zdziwieniu, znalazłam się w grupie sześciu finalistów zaproponowanych przez komisję okręgową do Olimpiady centralnej, a ich nazwiska opublikowane zostały w „Dzienniku Polskim”, co nadawało wydarzeniu szczególną rangę. O ostatecznym przyjęciu decydował jednak Komitet Główny i taką decyzję dostałam pod koniec marca. Wciąż pamiętam krótką drogę z poczty na osiedlu Zgody do domu na osiedlu Teatralnym, którą przemierzyłam biegiem, uniesiona radością, z listem zawiadamiającym, że „obywatelka Anna Janus” ma przyjechać do Warszawy 5 kwietnia, zostanie zakwaterowana w Domu Turysty, a 6 kwietnia o godzinie 8.30 w Sali Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych (Aleje Ujazdowskie 28) rozpoczną się eliminacje pisemne.

W ciągu kilku dni dzielących mnie od wyjazdu nie było żadnego „nadrabiania materiału” z klasy czwartej. Była natomiast lektura: *Sacrum, mit, historia* Mircei Eliadego, wyboru esejów podarowanego przez moją polonistkę, i zapisane w małym notatniku obszernie notatki z osobistego spotkania z Walerym Pisarkiem, który na prośbę licealistki wygłosił dla niej prywatny wykład na wybrany przez nią na Olimpiadę temat dotyczący języka prasy.

W naszej małej olimpijskiej grupce z Krakowa do Warszawy podróżowały ze mną między innymi Monika Rasiewicz, późniejsza profesor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, i Monika Zin, obecnie profesor studiów azjatyckich w Bochum. Następnego dnia siedziałam z Zinówną w jednej ławce i pisałam rozprawkę na temat: *Zadania i szanse literatury; jak pojmują je twórcy różnych epok*.

Dopiero w Warszawie dowiedziałam się, że dojscie do finału uprawnia do przyjęcia bez egzaminu wstępnego na polonistykę i automatycznie nakazuje wstawienie finaliście piątki z języka polskiego na świadectwie szkolnym. I właśnie ta druga informacja była dla mnie szczególną niespodzianką. Czym prędzej chwyciłam za telefon (wielki, czarny, na bilon, wisiał na ścianie korytarza hotelowego) i dzieląc się pospiesznie z polonistką wieścią o niespodziewanym zakwalifikowaniu do kolejnego

etapu – eliminacji ustnych, poinformowałam ją triumfalnie, że jest taki przepis, że należy mi się piątka... I ten komentarz: „Żmija...” rozbawionej i cieszącej się naszym wspólnym sukcesem znanej ze swej surowości nauczycielki. Takie rozmowy pamięta się po czterdziestu latach.

Na egzaminie ustnym upomniano mnie, że nie mówi się „prawidłowa”, ale „poprawna” pisownia, co z kolei wywołało dyskusję w gronie egzaminatorów, mających na ten temat sprzeczne zdania. Pytanie: „Kto z żyjących jeszcze i wciąż piszących prozaików dwudziestolecia zasługuje na uznanie?” wprawiło mnie w spore zakłopotanie. Nie wiedziałam wiele o prozaikach dwudziestolecia. Kołatało mi w głowie nazwisko Iwazskiewicza, choć zachwyty nad *Pannami z Wilka* i *Brzeziną* były jeszcze przede mną. Jednak, jako zakupoholiczka wszystkich książkowych nowości, miałam za sobą wnikliwą lekturę *Śpiewnika włoskiego*, więc z żalem w głosie oświadczyłam, że niestety, proza sprzed lat straciła swój blask dla młodego czytelnika, za to liryka...

Wspaniałą nagrodą dla finalistów była wizyta w Teatrze Narodowym na spektaklu *Pluskwa* Majakowskiego w inscenizacji Konrada Swinarskiego z niesamowitym Tadeuszem Łomnickim w roli Prisypkina. Do dziś pamiętam jego niewielką postać na wielkiej scenie i drganie jego małego palca prawej dłoni, do której przykuł uwagę zahipnotyzowanych widzów.



START W OLIMPIADZIE dał mi w prezencie cały kolejny cudowny rok bez stresu, bez martwienia się egzaminami wstępnymi czy wynikami na świadectwie. Mogłam sobie pozwolić na młodzieńczą miłość, lektury dla przyjemności, nieustanne przesiadywanie w teatrze i kinie, pracę korepetytorki z języka angielskiego i fizyki, udział w konkursie wiedzy o teatrze.

Nie chciałam, by cokolwiek zepsuło mi ten błogi nastrój, nie przystąpiłam więc do Olimpiady w kolejnym roku.

poloneza, jeśli polski temat  
i rzucić, jako pierwszą kartę,  
wielkie Słowo.

KONRAD

Chcesz, by wszystko było za umową.

MUZA

Tekst dowolny, komedia del'arte.

KONRAD

Strójcie-mi strójcie narodową scenę,  
niechajże ujrzę, jak dusza wam płonie;  
niechaj zobaczę dziś bogactwo całe  
i ogień rzucę ten, co pali w łonie  
i waszą zwołam Sławę!

Teatr, świątynia sztuki, — o duszo przybywaj!  
Hej! Tu stawcie kolumny te, tutaj posągi.  
Dalej, przynieście ścianę, — ty mi śpiewaj  
hymnus tryumfu, a ty pieśń żałoby.  
Dalej! Ustawić bohaterów groby,  
pomniki: Boratyński-rycerz, rycerz-Kmita!  
Umocujcie je silnie, poprzystawiać drągi,  
przyśrubować, — ha Sołtyk, — a tutaj część sali,  
jakby sala sejmowa — stół do kart, gra w kości,  
Stroić, prędzej się stroić; dom stawiam piękności!

*Ledwo powiedział co, a już się stało:  
Już dekorację znoszą całą;  
już ustawiają, piętrzą, ładzą.  
Aktorzy rzeszą się gromadzą,  
kostyумы na się nawdziewają  
te, w których potem role grają.*